

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (14)

Częstokroć na swojej drodze spotykałem ludzi zdolnych do wyższych uczuć. Ale mężczyźnie, dlaczego jest ich coraz mniej.

Czyli: nie jest tak źle z literaturą, bo pisarze ciągle piszą; jedni gorzej, drudzy lepiej. A jak wiadomo, każdy kiedyś zaczynał od nauki alfabetu: Mickiewiczowi też wyrzynały się zęby!

Trzeba poczekać, bo nawet patałach za-
sługuje na szansę; kto wie, co wylezie z po-
czwarki?

* * *

Wszystko to prawda, lecz chodzi o kryteria. Niewielu zasługuje na kredyt zaufania, chce poznać historię literatury, dowiedzieć się, co było przed nim, w jaką stronę zmierza i po kiego. Niewielu pragnie wiedzieć cokolwiek, za to całe mnóstwo preferuje luz i postawę spoko: tacy po wiek wieków zostają niedonoskami.

Mam nieustającą nadzieję, że ta nędzna maniera zniknie pod ciśnieniem czasu.

Słowacki nie poprzestał na samozachwytach, tylko pracował nad sobą. Czytał, pisał, zdobywał doświadczenie. Gromadził wiedzę nie tylko o sobie. A czytał, by wzbogacać swoje i tak przebogate słownictwo. Językowy wirtuoz, jak nazywał go Julian Krzyżanowski, podziwiał polszczyznę Kochanowskiego. Choć w tej chwili grubym nietaktem jest nie wiedzieć o Kordianie, Mazepie czy Balladynie, za życia nie wystawiono mu żadnego dramatu. Ale choć nie w pełni rozumiany przez współczesnych mu rodaków, to przecież jego teksty zostały docenione i odniósł swoje zwycięstwo zza grobu.

Dlaczego? Bo nie zaczynał literackiej mordęgi od siadania na laurach i wchodzenia na pomnik. Nie kłaniał się sobie i nie całował po ego. Słuchał, uczył się, podpatrywał mistrzów. Podobnie, jak czynili to Leśmian, Tuwim, Żeromski, Kraszewski czy Prus.

Wolę ich czytać z tego powodu, że pracowali nad swoimi umiejętnościami, co więcej, poszerzali środki swoich wypowiedzi, a nie dlatego, że umieszczono ich w Panteonach i Areopagach.

Tylko w tym względzie przeciwstawiłem ich obecnym bufonom – bezideowym naśladowcom Przybyszewskiego.

Konkluzja: naprzód trzeba znać elementarz, a dopiero później zabierać się za przemądrzałość. Nigdy na odwrót. A tak się teraz dzieje. Co ze smutkiem stwierdzam, gdy poznaję internetową twórczość. Bawią mnie

narcystyczne poglądy na literaturę; jest w stałym rozwoju, a egoizm prezentowany przez internetowych twórców, to zaledwie przejściowy okres. Przypuszczam, że wkrótce (razem z intelektualnym trądzikiem) przejdzie im zadurzenie sobą i docenią potrzebę poznawania historii kultury. Co powiedziawszy, kończę balladę o cyklicznym upadku obyczajów cytatem z „Wesela” Wyspiańskiego: ino im się nie chce chcieć.

„Przekrój”

Ilekoć myślę o losach tego pisma, pisma, którego nie zniszczył komunizm, zaś wykończył kapitalizm, a raczej jego parodia – dokuca mi depresja; lata temu krążyła po Polsce piosenka Sikorowskiego Nie przenoście nam stolicy do Krakowa. A ja sobie śpiewałem: nie przenoście nam Przekroju do Warszawy.

Niestety, moje modły trafiły pod niewłaściwe niebiosa i magazyn zszedł na dziady: jeżeli przed przeprowadzką w 2002 r. jego nakład oscylował w granicach siedmiuset tysięcy egzemplarzy, to po przenosinach, zmianie profilu i właściciela, dopełzył do czołówki bezwartościowych piśmideł o nakładzie nie przekraczającym trzydziestu tysięcy.

Kiedy więc mam wolne od zastanawiania się nad swoim tu i teraz, gdy chcę odprężyć się i nie zgłupieć do reszty, zaglądam do szafy wypełnionej starymi rocznikami tego czasopiśma i wracam do lektur wywodzących się z czasu bajek o żelaznym wilku.

Ogarnia mnie wtedy uczucie wściekłości, że jego poszczególne egzemplarze nie mogą udowodnić głuszcem i ślepcom, że za komuny też istniało kulturalne życie. Tu stara śpiewka: życie było wtedy (pod pewnymi względami) lepsze, bujniejsze, znacznie ciekawsze od teraźniejszego, wzbogacone o przeżycia z pogranicza okolic duchowego wykwinu. Lecz, jak to bywa z podróżami po sentymentach minionej świetności, poczęły mnie dręczyć dwubiegunowe, naprzemienne reminiscencje, podekscytowania zabarwione goryczą, żalem i mgławicowymi nostalgiami.

Z jednej rozpierało mnie uczucie dumy na myśl, że nawet w chwilach, gdy po naszym kraju grasowały ideologiczne tłumoki i pełnił się zamordyzm, potrafiliśmy przeciwstawić się tym idiotyzmom tworząc unikalny tygodnik. Natomiast z drugiej strony zastanawiałem się, jak to możliwe, że w czasach, gdy nareszcie jesteśmy wolni od grasatów i nie

gnębią nas jakiegokolwiek tuzy cenzury, ciągle nie stać nas (przy obecnych zdobyczach technicznych!) na kontynuowanie wypracowanych i sprawdzonych wzorów wydawania takich pism, a przeciwnie, stać nas na ich likwidację.

Pieścimy w sobie ongiśniejszy zwyczaj czytania kulturalnych periodyków. Z nawyku sięgamy do ich lektury, by już po chwili stwierdzić z rozczarowaniem, że jest coraz mniej znanych i lubianych, a powstaje coraz więcej przeciętnych, że zapanowała wszechobecna moda na korektorskie niechlujstwo czy niski poziom sztuki poligraficznej. Nie ma w tym jednak nic dziwnego: to nasza cena za niedoinwestowanie, bo za obecny stan rzeczy odpowiedzialny jest skandaliczny procent budżetu przeznaczony na kulturę; podczas, gdy w innych krajach wydatki na naukę czy oświatę albo się zwiększają, albo utrzymują na wysokim poziomie, my jako kraj cywilizowany, a więc mądrzejszy od reszty Europy, ze wszystkich sił staramy się je zredukować.

Onegdaj narzekaliśmy na szarobury entourage socjalizmu, na wtłoczenie nas w przeciętność. Ponoć zakończył się najgorszy etap naszego istnienia w kraju nad Wisłą. Wszelako nie potrafimy go dotąd zastąpić efektywniejszym i znowu, jak za minionych lat, tkwimy w przedśionku do zwyczajności. Jest mi z tego powodu przykro, a podejrzewam, że nie tylko mnie, bo sprawa jakości edytowania czegokolwiek staje się coraz szerszym i niepokojącym zjawiskiem. Mogłbym więc znowu międlić polemiczne słowa, dlaczego jest nie tak, jak nie chcieliśmy, mógłbym przerzucać się samograjowymi argumentami, ile to nam się pokundliło i zaplątało na odcinku kultury, ale czy od mojego marudzenia przybędzie rozumu tym, co go utracili?

A jak czytam, kto w nim pisał, zalewa mnie krew. Z autorów polskich: Maria Dąbrowska, Zofia Chądzyńska – kongenialna tłumaczka Julio Cortazara, Magdalena Samozwaniec, Stefania Grodzieńska, Izabela Czajka, Wanda Falkowska, Maria Zientarowa (Wojna domowa), Konstanty Ildefons Gałczyński, Sławomir Mrożek, Stefan Wiechecki, Jan Stoberski.

Jerzy Szaniawski drukował opowiadania o profesorze Tutce, Jan Kamyczek prowadził specjalną rubrykę *savoir-vivre*'u. Można było zapoznać się z literackimi rozważaniami Artura Sandauera, napawać twórczością Sta-

(Dokończenie na stronie 4)